NUMER 31. DNIA 12. SIERPNIA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

BRONISŁAW SZWARCE.

PAMIĘTNIKI.

(1834 — 1903 *).

Niech wie każdy, że idąc naprzód, zwycięstwo i sławę otrzyma, że tył haniebnie podając, wstyd i śmierć niechybną napotka.
Tadeusz Kościuszko.
Grodno, 30 Września, 1794.

W ciągu długiego i burzliwego życia często się już zabierałem do spisania ważniejszych jego chwil, i teraz mię do tego znowu namawiają, jak namawiano nieraz — ale zaczęte próbki często i to w sposób najdotkliwszy zostały przerwane wówczas jeszcze, kiedy mi pamięć lepiej służyła, kiedy obrazy dawnych zdarzeń, dawnych kolegów i przyjaciół, dawnych wrogów i zdrajców nie zatarły się w mgle zapomnienia. Wiele faktów, szczegółowo zapisanych, poszło do pieca podczas rewizyj, dostało się do niepowołanych żandarmskich rąk, zaginęło w najrozmaitszy sposób — a któż je dzisiaj wskrzesi? O wielu nazwiskach naumyślnie zapomnieć chciałem, by nie skompromitować żyjących, albo niewiadomo, gdzie znajdujących się — któż mi je teraz po tylu latach podpowie? Moje pamiętniki nie będą już dziennikiem, ale fantazją na tle rzeczywistości dawno, dawno minionej; czyż warto je ogłosić, czyż nie zaszkodzą one tej właśnie sprawie, której całe życie broniłem, od tego czasu, jak się nauczyłem myśleć i działać?

Mam jednak dla zachęty jedną i wcale niezwykłą pobudkę. Jestem, zdaje mi się, dobrym Polakiem, mam opisywać dzieje kilkudziesięcioletniej walki polskiej jednostki z wrogami Ojczyzny dla odbudowania niepodległej polskiej Rzeczypospolitej — a nie wiem sam, czy mi wolno używać poetycznych wyrazów: ojczyzna, pola rodzinne, krew moich przodków i t. p., jak ogół naszych patrjotów. Bo przecie nie urodziłem się w Polsce, ale daleko, gdzieś nad Oceanem Atlantyckim; temu lat dwanaście, mając około sześćdziesięciu lat, przeżyłem z nich na ziemi polskiej zaledwie półtrzecia roku; nie mam prawdopodobnie w żyłach ani kropli krwi polskiej, nawet słowiańskiej, coś na kształt Lindego, Lelewela, Szopena, Szajnochy, Pola, Lama, Askenazego i innych; wyznaję wiarę prawie dziś obcą Polakom, ba! nawet ogólnie wyklętą, chociaż dawniej im przewodniczyła i do zwycięstwa ich prowadziła — położenie, zdaje się, wcale nie tuzinkowe. Po kiego więc (przepraszam) licha jestem Polakiem? Czemu walczyłem, cierpiałem, pracuję dotąd dla narodowości, która podług przyjętych dzisiaj prześlicznych scholastyczno-fantastycznych teoryj, powinna mi być najzupełniej obcą? Nie masz wątpienia, że rodzice mi przykład dali, że ojciec mój walczył również i cierpiał dla Polski, że mię na Polaka wychowano, i że to wychowanie wielki wpływ na mnie wywrzeć musiało; ale ani owych sławnych dziedziczności, rasowości, kultur, praw natury, praw dziejowych, klimatycznych wpływów do mnie stosować nie można, ani, choćbym pękł, nie mogę sobie ułożyć pozytywistycznej formułki, którаby moje czyny wywołała. Po gruntownem i poszczególnem badaniu (a na nie, jak się dalej pokaże, miałem nieraz dosyć czasu) przyszedłem

*) „Pamiętników“ swych nie doprowadził nieodżałowanej pamięci Bronisław Szwarce do końca, zaczął je bowiem pisać na krótko przed zgonem. Obejmują one tylko czasy dzieciństwa i wspomnienia szkolne. — Szwarce przebył, jak wiadomo, blisko 30 lat na wygnaniu. Z okresu tego dawniej jeszcze opisał pobyt w głośnej rosyjskiej katowni więźniów politycznych i opis ten ogłosił drukiem p. t. „Siedm lat w Schlüsselburgu“.

do przekonania, że jedyną rozumną przyczyną, kierującą prawie od pół wieku całem mojem postępowaniem, jest następująca: jestem Polakiem, bo mi się tak podobało, bo Polakiem być chcę pomimo wszelkich przeszkód i klęsk. Jestem więc dość ciekawym okazem polskiej narodowości, a jeśli po przeczytaniu tej mojej bazgraniny przyjdą ludzie do przekonania, że taka zasada jest zupełnie wystarczająca, że dosyć nam chcieć, aby być sobą i zadrwić sobie z przemocy obcej — najzupełniej będę ze swego pisania zadowolony. A więc, przy Bożej pomocy, zaczynam.

* * *

Urodziłem się 7. października 1834 (o siódmej z rana, jak napisał pan wójt Le Moigne), na folwarku Lochrist (miejsce Chrystusa), w gminie Locharn (miejsce burzy), w samem sercu Kornwalji (Kerne) w Bretanji. Przy krajaniu Francji nożycami Konwentu na równe kawałki, nie zważając ani na dzieje, ani na mowę ludności, ani na wolę narodu, a tylko na widzi mi się urzędników, ów środek dawnego Kemperskiego biskupstwa znalazł się jak raz na pograniczu trzech departamentów: Côtes du Nord, Morbihan i Finistère, a gmina moja należy do pierwszego, tak nazwanego dlatego, że się znajduje na północnych brzegach nie Francji, ale Bretanji, której zresztą istnienie chciano wówczas zupełnie skasować, pod karą śmierci, a która istnieje sobie dotąd najspokojniej. Czytałem, że teraźniejsza Republika urządziła tam teraz Wrześnię, na korzyść paryskiego djalektu, ale wątpię, by to lepiej poskutkowało, niż gilotyna Konwentu.

Kornwalja więc moja (Cornu Galliae, róg Gallji, po bretońsku Kerne, rogowa) zajmuje połowę Finisteru, dobrą część Côtes du Nord'ów i kawałeczek Morbihanu i stanowi jedną z czterech części celtyckiej Bretanji z osobnem narzeczem i zupełnie odrębną fizjonomją, najdzikszą może ze wszystkich, ale najodporniejszą. W ludowej charakterystyce tych czterech biskupstw (Leońskiego, Wenedzkiego, Trewerskiego i Kernskiego)

Laer evel eux Leonard,
Traytour evel eun Trewergad,
Sod evel evr Gwenedad,
Brusk evel evr Kernevad,

co znaczy po polsku:

Złodziejski jak Leończyk,
Zdradziecki jak Trewerczyk,
Głupi jak Wenedczyk,
Brutalny jak Kornwalczyk

moim szanownym rodakom nie najgorszą rolę naznaczono; proszę się zapytać Darwińszczyków, czy się takim charakterem zarazić mogłem.

Mój folwark rodzimy leżał wśród lasów, nad brzegiem rzeczki, przerobionej na młynówkę, o pół mili od starożytnego miasteczka Karhez (Carhaix), w dosyć malowniczem położeniu, chyba że go cywilizacja i kolej żelazna dzisiaj przerobiły. Wówczas wilki jeszcze tam hulały i pamiętam, jakem widział ich oczy tańcujące w nocy w lesie przy ogłuszającej orkiestrze miednic i rądlów, na których cały żeński personal folwarku bębnił zawzięcie dla odstraszenia drapieżników. Owa młynówka śliczna, o parę kilometrów wyżej między skałami była dopływem Avonu (Aulne), jednej z najładniejszych bretońskich rzek, dążącej śród skał i pagórków leśnych na zachód, do głębokiej Brestskiej zatoki; ujęta w karby, Lochristska rzeczka służyła do poruszania tartaku dla tłuczenia kory dębowej, ku użytkowi pryncypała ojca mojego, sławetnego garbarza i przedsiębiorcy z miasta Dynan (Dinan), pana Anzelma Michela.

Przy stuku tłuczków i turkocie koła młyńskiego ujrzałem światło dzienne w pogodny jesienny poranek, a babka moja, Warszawianka starej daty, ledwie mię obroniła od zakwefionych bretońskich kumoszek, chcących koniecznie, podług zwyczaju, przekształcić mię w krótkogłowego.

Tyle co do klimatycznych i rasowych wpływów, bo nie myślę opisywać ani granitowej „fermy“, ani stawu porządnie zarybionego, ani ogrodu, w którym dzięki wilgotnym wpływom Atlantyku, jabłka rzadko dojrzewały, gruszki jeszcze rzadziej, a winogrona (bo i te posadzono) nigdy. Miałem się zresztą bardzo prędko, bo przed rokiem, przenieść stamtąd do samego Dynanu, do francuskiej Bretanji i dlatego mam dotychczas bardzo słabe wyobrażenie o języku i obyczajach swych rodzinnych okolic, chociażem je później odwiedzał; gdybym się tam teraz dostał, wzięto by mię pewno za Galieka (Francuza) a może i za Saozona (Sasa, Anglika) i potraktowano odpowiednio; a wiadomo, że dla tych dwóch narodów Bretończycy zbytniej miłości nigdy nie czuli. (C. d. n.)

FELIKS GWIŻDŻ.

Hej! śwarny ci jo chłopiec...

Hej! śwarny ci jo chłopiec,
Hej! taki, co nic nimo,
A ino se ciupazke
W prawej rucce trzymo!..

Hej! ni mom nic,
Ino wirchy, bystre polany —
Hej! ni mom nic,
Ino dróge we świat kochany!

Hej! ociec mój!
Dyć świat cały moja dziedzina —
Hej! ociec mój!
Duzo-duzo dołeś lo syna!

Śpiewom se rod,
Wiater śpiewkąm pola zasieje —
Niejeden chłop
Z takiej siejby doś sie naśmieje...

Idęm se som,
Nic nie wlekęm nigdy na sobie —
Bedzie mi lzej,
Kie nareście legnęm se w grobie.

Hej! śwarny ci jo chłopiec,
Hej! taki, co nic nimo,
A ino se ciupazke
W prawej rucce trzymo!..

Lwów, 5 sierpnia 1906.

Pieśń ojczysta.

Z niedawnej przeszłości.

(Dokończenie).

Teraz lud niedługo już czekał. Na ścieżaj otwarto bramę zamkową i główne drzwi na stopniach ganku kamiennych i wszystkie podwoje salonów — wielki majestat będzie tędy przechodził: śmierć; a ten, którego stąd wyniosą, najmłodszym jest z rodu i ostatnim z dziedziców tej ziemi.

W niedługiej chwili z głębi pokojów wypłynął śpiew żałobny kapłanów i na podworzec ze stopni zamkowych spływać zaczęła fala smutnego tłumu. Domownicy, służba, rodzina, goście i przyjaciele bezładną zrazu gromadą zapełnili dziedziniec; lecz wkrótce wszystko stanęło na miejscu — w podwojach zamku ukazała się trumna.

Wkrótce dźwignął się pochód. Zakołysał się tłum wielotysięczny, a potem zwolna, spokojnie, rozwinął się w majestatyczne szeregi. Przed tłumem trumnę nieśli wysoko, czarną trumnę, spowitą wieńcami kwiatów; a przed trumną szli księża w czarnych ornatach, spiewający hymny żałobne. Za trumną matka szła, słodka pani na Kimburgu, szła słaniająca się, z twarzą jak marmur białą, a kwef żałobny czarną mgłą opływał jej postać. Wspierała się na ramieniu młodzieńca, który najbliższym druhem był jej syna, a oczy utkwione w trumnę, wiodły ją za nią bezwiednie.

Za matką, dokoła niej, szli towarzysze i przyjaciele jej syna, z odsłoniętemi, białemi czołami, ze smutkiem w młodzieńczych oczach. Opodal szła służby gromadka — stary kamerdyner, co młodego pana na rękach wyhuśtał, piastunka, która go niegdyś do kolebki kładła, strzelec co mu na łowach uratował życie, zasłaniając go piersią własną i ci inni wszyscy, którzy usługiwali mu i męskie jego zabawy dzielili, których on kochał i uczył. Na ciemnych ich twarzach, na rysach twardych jednaki smutek, jednaka boleść, wyryta głęboko.

Za nimi szedł lud. Zwolna, milcząco, cicho, szło ich dziesięć tysięcy, każda wieś swoją gromadą, a na czele każdej gromady własna orkiestra, lecz żaden dźwięk muzyczny nie zabrzmiał w powietrzu — w ciszy szli białą drogą, jak wąż olbrzymi o barwnych przegubach sunęli po zakrętach drogi i tylko szmer głuchy stąpań rozlegał się po równinie.

Lecz gdzież jest pan, gdzie władca Kimburga? Czy nie spostrzega, że ten barwny wąż tłumu idzie za trumną jego syna, tego dziedzica, którego on im odebrał? Czy żaden niepokój, czy żaden błysk gniewu nie każe mu wstrzymać pochodu?

On idzie przy trumnie, z osobna od matki, od przyjaciół, a przestrzeń pusta dokoła niego, nikt nie śmie zbliżyć się, ani mu podać ramienia, ani zmącić jego boleści.

Idzie samotny. Wyprostowany, wysoki, dumny, głowę odsłoniętą niesie wysoko, ze sklepionego czoła czy tchnienie wiatru, czy giest dumy zwiał włosy krucze. Zdaje się, nie widzi nikogo i nic nie słyszy, bez ruchu kamienne obli-

cze, żaden rys na niem nie drgnie, tylko brózda głęboka zbliżyła łuki czarnych brwi srogich.

I nikt nie ma odwagi zajrzeć mu w oczy — czy wzrok przejmujący, w trumnę utkwiony, czy w głąb siebie zwrócony, trawiącym ogniem się pali? W spuszczonym ręku tkwi kołpak bogaty, lewa dłoń silnie na piersiach przywarta, tylko brylant na niej w słońcu migoce, sto iskier ciska, promienny, a zimny.

Sunie orszak drogą wśród łanów złocistych, wśród łąk rozkwitłych, między wzgórzami winnic; zwolna wstępuje wyżej, ku najwznioślejszemu ze wzgórzy, gdzie wznosi się kościół wpośród lip starych, gdzie wierzby płaczą nad granitami grobowców i smutne krzyże czarne wyciągają ramiona.

A kiedy księża na czele orszaku zaczęli dźwigać się na wzgórze i trumna na barkach włościan niesiona, nad tłumem wyżej, wciąż wyżej urastać zaczęła — na wieży kościelnej zakołysały się dzwony i hymn spiżowy, ogromny, żałobny rzucił się w ciszę, kaskadami dźwięków w powietrze spłynął. Kiedy zaś trumnę wnosili we wrota, stare lipy cmentarne powiały szmerem głuchym i dziewanny mogił pokłoniły się złotymi snopami, a grabarze u otwartego oczekujący grobu, odkryli głowy i tłumiąc westchnienie pacierz szeptali.

Postawiono trumnę na wzniesieniu, nad dołem mogilnym. Cmentarz cały i wzgórze całe opłynęły fale tłumu, fale nieprzeliczone, smutkiem skute, ogromnie nieme w posępnej boleści.

I nie było przemówień nad grobem, ani kantat muzycznych, ani pożegnań głośnych — o taką ciszę prosił samobójca. Więc tylko *requiem aeternam* nad trumną rozbrzmiało, a dzwony biły głośno, żałobnie, spiżowem łkaniem wołając do nieba. I tylko matka od białych śniegów stała się bielszą; jak kwiat złamany raz po raz słaniała się na podtrzymujące ją ramiona, przejrzyste jak lilje dłonie wyciągała ku trumnie i głosem rozpaczy pieszczonem imieniem wołała na syna.

Po drugiej stronie, na płycie grobowca, tuż nad dołem mogilnym stał ojciec. Oczy powiekami wpółskryte, w dół utkwił; nie zgadnąć, co kryje się w duszy — na obliczu spokój kamienny i duma. A taki chłód, taki majestat od niego bił wielki, że z tego tłumu dziesięciu tysięcy nie znalazł się ani jeden człowiek, coby śmiał stanąć obok niego, na wzgórzu i patrzeć z nim razem — litośnie — w otwarty grób syna.

Skończył kapłan modlitwę — księża, panowie, lud, wszyscy powstali z klęczek. I była chwila że morze głów zakołysało się i drgnęło — zdało się fale wód podnoszą się, dźwigają, wnet rzucą się naprzód, porwą się na czyn jakiś. Lecz było to drgnienie, krótki błysk przed gromem. Mgnienie ciszy naprężonej, czujnej i nagle —

O, wstrząsająco, o cudna, o niewymowna chwilo!

Jak jeden dźwięk, jak jedno tchnienie, jak zew donośny, z dziesięciu tysięcy piersi zerwana, zabrzmiała pieśń, ojczysta pieśń ludu, zestrojona cudnie i na potężnych skrzydłach wzniesiona, rozfalowana, rozgłośna, ogromna, wzbiła się w niebiosy.

Jednocześnie setki orkiestr we wtór uderzyły i zdawało się, że ta pieśń potężna na podłożu muzyki płynąca, dźwiga się, rośnie, olbrzymieje, że zaleje kraj cały, ziemią zatrzęsie w posadach, zerwie z błękitu słońce.

„Kde domov můj, kde domov můj...“—płynęło z cmentarnego wzgórza i w pół rzewna, i w pół tkliwa melodja niosła się powietrzem ponad złociste łany, nad rozłogi łąk, nad wzgórza winniczne; szerokimi kręgami rozpływała się na dalekie smugi, tuliła się w gąszcze sadów, najcichszą, najsłodszą swą falą gasła na progu chat. Zakołysały się, zaszumiały fale Łaby, załkały nią gaje, kaskady potoków odjękły srebrnem echem.

I na całej dolinie nie było nic, coby nie stało się tą pieśnią ludu, królującą, rozprzestrzenioną, potężną — a łkającą niezmierną tęsknotą, płynącą kędyś w przeczuty, jasny świt...

Na cmentarzu, dokoła trumny, czar dziwny skuł wszystkich na miejscu. Stanęli księża, zatrzymali się grabarze, tłum gości zdziwione twarze odwrócił ku śpiewającym. Nieporuszeni, a przejęci stali wszyscy w zasłuchaniu, z pobladłemi twarzami, z głową odkrytą w obec tej pieśni olbrzymiej i w obec trumny człowieka, który za życie oddane prosił lud o tę jedną pieśń ojczystą.

Pan na Kimburgu stał na wzniesieniu, a słuchał. Długie lata nie słyszał tej pieśni, nie słyszał jej nigdy z tylu tysięcy piersi w powietrze rzuconej.

Akord po akordzie, ton po tonie płynęły ku niemu, a w piersiach poczęła mu się zrywać burza nieznanych uczuć. Jakieś głosy dalekie, jakieś echa przedawnych drgnień wstawały ze mgły jego wspomnień. Coś mu budziło się w piersi, coś mu na skrzydłach wielkich chciało lecieć wzwyż; jakaś powrotna fala dawnych lat i chciał

to zdusić w wzburzonej duszy, chciał nakazem silnej woli opętać. — Napróżno!

Kiedy pieśń w rzewnych tonach śpiewała czar ziemi ojczystej — z głębi wiekowych jakiś blizki głos począł na niego wołać i mówić do niego mową, którą dusza jego rozumieć już przestała, i wołać, że pokrzywdził jakieś wielkie uczucie, jakieś prawo podeptał, które skarżyło się, że coś uniżył, coś zaprzepaścił — i ktoś go nazywał słodkiem, zapomnianem mianem, i ktoś do niego ręce wyciągał—aż w piersiach łkać mu poczęło ogromnem łkaniem bezbrzeżnego bolu i zapomnienia.

Ogarnęło go szaleństwo niepokoju — chciał zawołać głosem gromkim, aby przestano śpiewać, bo oto gotów zmysły postradać, gotów paść nagą piersią na ziemię, na której stoi, i usta do niej przyłożyć w pokorze, i wołać: moja — moja — moja!

Lecz straszliwa ręka bolu szponami zacisnęła mu pierś, głos zdławiła i stopy przykuła do ziemi.

Stał, a słuchał.

A kiedy pieśń załkała serdeczną za krajem tęsknotą, on myślał:

Synowi to jego czeski lud śpiewa na pożegnanie — ukochanemu tę pieśń dla serca czeskiego najdroższą — samobójcę — nie! zabitego — żegna ziemia ojczysta —

Chciał pójść i zerwać wieko z trumny syna i nędzną twarzą przypaść do stóp jego i pytać: Tyś za nią umarł? Tożeś ją kochał tak — aż na śmierć? Za niąm cię zabił — ja, ojciec — syna!?

Lecz z wieka trumny dźwigać się poczęła jakaś wizja straszna, ogromna i potężna, na skrzydłach pieśni rosnąca, szła ku niemu, pytając krwawemi oczyma — a dzwony tysiączne dokoła biły, a każde uderzenie dzwonów było pozwem na sąd, na wielki w chmurach sąd, gdzie sądzić będzie jego własny lud, a sędzią będzie przeszłość jego kraju — —

Twarz słuchającego mienić się poczęła straszliwie, blask żółty wybił mu się na policzki, na czoło, aż stał się cały, jak wosk gromniczny w ręku konającego. Oczy otwarły się szeroko i grozy pełne patrzyły przed się, w jakiś obraz, jemu tylko widzialny...

A kiedy popłynęły ostatnie słowa zwrotki, słowa tryumfu i miłości, tęsknoty i dumy:

To je Čechů slavné plémě, mezi Čechy domov můj.

Krzyk straszny, krótki, zdławiony rozległ się na cmentarzu, krzyk okropny, co w jednem krótkiem brzmieniu zawarł cały ból rozdartej duszy — i pan na Kimburgu podniósł ramiona i na oślep rzucił się w grób syna.

A pieśń płynęła dalej. Spokojna i niezmącona zwycięsko brała w posiadanie kraj cały. Kłaniały się jej lasy i dąbrowy, i wody i łany zbóż, ugięły się serca ludzkie w hołdzie głębokim. I była w pieśni tej potęga, większa niż trony królów, silniejsza niż okrzyk bojowy, władnąca czarami, jakie tylko serca na serca kładą.

Pieśni ojczysta, z niebieskich wyżyn jest królestwo twoje i aniołowie na skrzydłach cię roznoszą. Ołtarze twoje na szczytach duszy ludzkość ci buduje, a ognie co na nich płoną, są ogniem nieśmiertelności. Pieśni ojczysta, tyś harfą stuleci i na twych strunach złotych serce narodu gra nieprzerwanie najczystsze swe tony. Póki ty żyjesz, niepokalana i wielka, naród z popiołów nawet powstać potrafi, boś ty — o pieśni! — skrzydłami narodu, które go ku słońcom promiennym, ku słońcom nieśmiertelnym podnoszą.

Zygmunt Lubertowicz.

CZEM JESTEŚ, MARO.

Czem jesteś, maro, co wwodzisz w noc ciemną,
Pod beznadziejne, bezgwiezdne sklepienia,
Co skrzydła krucze roztaczasz nademną
I mroźnem tchnieniem wlewasz jad wątpienia
W serce, co niegdyś biło żywą wiarą —
O czem ty jesteś ciemna, krwawa maro?

Nie było kraju cudniejszego w świecie,
Jaki marzyła dusza moja młoda;
Kraj w pieśń strojony i w światła i w kwiecie,
Jako słoneczna jaśniał mi pogoda —
I był mej duszy, jak czyste lelije,
Bogaty w cuda, w piękno, poezyje...

I cóż ostało z tych baśniowych zdarzeń?
Przypadło tchnienie, jak krwawa gadzina
Zionęło jadem, i kwiaty mych marzeń
Podcięło wcześnie... A choć myśl odklina —
Jad ostał w sercu i na duszy rana,
Śmiechem nieskryta, łzą niezamazana.

Czem jesteś, maro, co błąkasz w noc ciemną,
Nadziei młodych gubisz gwiazdy złote

I skrzydła czarne roztaczasz nademną,
A tchnieniem zdradnem wlewasz jad - zgryzotę
W serce, że własną staje się ofiarą —
O czem ty jesteś ciemna, krwawa maro?

Nie było ciebie wówczas, gdym na ręku
Mej matki drogiej igrał — małe dziecię;
Nie było ciebie, gdym szczęsny bez lęku
Na świat ten patrzył, jako na to kwiecie;
Nie było ciebie, gdym na harfie złotej
Z promieni — słońcu śpiewywał pieszczoty.

Dawniej nie znałem tych łez krwawych w męce...
Kiedy mi zorza wykwitała złota,
Bez słów ku niebu podnosiłem ręce —
I taka była w mem sercu tęsknota
Za tem, co duszę poi i weseli,
Żem był, jako ci niebiescy anieli.

Dawniej nie znałem twoich zdradnych sideł.
Byłem, jak dziecko, co i we łzach kocha.
Nie czułem czarnych twych nad sobą skrzydeł
Ni twego jadu — oddechu molocha,
Co, jak wiew śmierci, tłumi serca bicie...
Dawniej ja ciebie nie znałem, o Życie!

Z ZA KRATY.

LUŹNE KARTKI*).

(Dokończenie).

I wtedy zrozumiałam, jak szczęśliwie się stało, że nie podpisałam protokołu, gdy mi go pierwszy żandarm podał do podpisu w Granicy. Obwinioną byłam o przewóz proklamacji.

— To fałsz, zawołałam, albo protokół ten zmieniono, albo też pański kolega sądzi, iż uda mu się złapać nieświadomą kobietę, sądził, iż po rosyjsku nie rozumiem, więc podpiszę to, co mi zechcą łaskawie przetłumaczyć. Proszę o spis broszur, sporządzony w Granicy.

Zielonka zmieszany nieco zajrzał do spisu; ani jedna proklamacja wymienioną nie była.

— No, rzekł, to właściwie do rzeczy nie należy, pani protokołu nie podpisywała, więc to drobiazg (pustjaki), teraz sporządzimy inny i pani go podpisze, mam nadzieję.

— O ile wpierw sama dokładnie i uważnie przeczytam, odrzekłam.

— Zaczerwienił się, ale nic nie rzekł — napisał akt obwiniający i podał mi go do przeczytania.

— Kiedy będę wolną? — zapytałam.

— Skoro tylko nadejdzie kaucja, przedtem jeszcze poślę kogoś do Warszawy, by zrobiono u pani rewizję.

Żachnęłam się na te słowa — żandarm dostrzegł to i uprzejmie zapytał.

— Ma pani dużo książek, broszur i listów u siebie?

— Dlaczego pan o to pyta?

— Bo będę miał z tem pracę, papiery pani i książki przywiozą do mnie i o ile ich będzie więcej lub mniej, tem i pobyt pani będzie dłuższy lub krótszy w więzieniu, a jeśli znajdzie się coś bardzo panią obciążającego, to mimo kaucji zostanie pani tu.

— Niema strachu, rzekłam, nie napracuje się pan wiele i ja wolną będę.

— Jest jeszcze sposób uniknięcia rewizji, która bądź co bądź nie zawsze dobrze się kończy, no i ostatecznego zakończenia sprawy, od pani to tylko zależy, ale niestety pani nie chce mi wierzyć, mimo życzliwych rad, jest pani dziwnie upartą i nerwową kobietą.

— O ile przypominam sobie — odrzekłam — na moje nerwy nikt tu się chyba nie mógł uskarżać...

— O, o tem mowy niema — przerwał mi — ale ludzie nerwowi są zwykle uparci i zacięci, trudno ich przekonać, iż są w błędzie.

— Ciekawam w czem? słucham pana.

— Przekonany jestem — mówił, pochylając się nieco nad rozdzielającym nas stołem p. Zielonka — i mówiłem pani to zaraz pierwszego dnia, iż pani należy do stowarzyszenia tajnego, które panią wysłało, proszę, niech więc pani to wyzna szczerze, niech wskaże kto ją wysłał a sprawa pani w tej chwili skreśloną zostanie, dziś wyjdzie stąd pani.

Wszystko we mnie wrzało, i on mi śmiał to powiedzieć? nie zdradziłam się jednak niczem, nie zapytałam go nawet, chociaż słowa te cisnęły mi się wprost na usta.

— I potem wstąpię do waszej prawowiernej armji szpiegów?

Podniosłam się tylko i spokojnie patrząc w twarz żandarma, rzekłam:

— Powiedziałam już raz panu, że nawet do żadnego „Gesangvereinu" nie należę, sądzę, iż badanie me skończone, proszę rób pan u mnie rewizję, czekać będę zakończenia tej sprawy.

29. czerwca. Pieniądze nadeszły i naczelnik więzienia telegrafował do Zielonki, iż kaucja już jest, odpowiedzi niema, znaleźlibyż tam coś obwiniającego? W tych ostatnich dniach czuję, iż mam nerwy, noce zwłaszcza są straszne, bylebym światło zgasiła, gnębią mię halucynacje, widzę zbirów wchodzących do mego mieszkania, roztrząsających każdy kąt, cała ohyda nocnej rewizji staje mi w oczach, mimo, iż jej nigdy na prawdę nie widziałam; dziś byłam tak zmęczona tą nocą, iż rano wezwałam lekarza, prosząc o poradę i wzięcie w kluby chorych nerwów. Wybaczyłam doktorowi brak łóżka i chłód przy pierwszem spotkaniu, wszak i on tu jest, jak mówią, „pod strażajszym moskowskim nadzorom“, dość widzieć spojrzenie Kudlika, no i obecnie dobrze jesteśmy ze sobą, mimo to widziałam, że się zdziwił, iż go sama o pomoc lekarską prosiłam. Poza niepokojem dokuczają niemożliwie upały. Okna zasłonić nie wolno, cały więc dzień słońce piecze niemiłosiernie, nie ja jedna odczuwam to niemożliwe gorąco, słyszę, jak koledzy-więźniowie uskarżają się na straszne upały. — Nie wychodzę wcale na spacer, gdyż na podwórzu kobiecem upał zwrotnikowy już od 9-tej rano, możnaby chodzić dopiero o piątej po południu, ale wtedy już się siedzi pod numerem, jak mówią strażnicy.

Izabelka ciężko chora. Chciałam zanosić jej rosół, ale mi nie pozwolono, „ma wszystko, co potrzeba“.

4. lipca, w wagonie. Wolnam, przed godziną opuściłam progi więzienne i siła pary unosi mię zdala stąd, stoję w oknie wagonu i witam pola i łany, zda mi się, że mam skrzydła, że lecę gdzieś w światłość wielką, mam w sercu wielką miłość, serdeczne ukochanie. Nigdy mi te zielone trawy, te wonne niwy tak miłe i drogie nie były, nie chcę ludzi, oni mię tu o coś pytają, coś mówią, a ja nie chcę nic mówić, nie chcę nic słyszeć, w duszy brzmi mi wielka, potężna pieśń swobody! Zamieniłam się cała w wzrok... w bezgraniczne ukochanie. — I kocham te drzewa zielone, kocham wieżyczkę wiejskiego kościółka, kocham pola i tego pastuszka, co gra na ligawce i tego ptaszka szarego, i kocham przedewszystkiem tę ziemię moją szarą, moją rodzinną!...

A jednak... ból szarpie mną! nie, szczęścia niema i być nie może, bramy więzienne otworzyły się przedemną, a tamci zostali? Towarzysze więzienni! darujcie chwilę pierwszego upojenia swobodą, nie, póki żelazne wrzedziądze zawierają się za wami, póki bodaj jeden z was tam cierpi, nie wolno mi się cieszyć! Jak ptak spłoszony dusza ma zwraca się ku wam!

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

O bohaterskim koniu i walącym się domu prozą napisał Jan Kasprowicz. Lwów. H. Altenberg. 1906.

Jestto zbiór fragmentarycznych myśli i wrażeń, opracowanych — zdaje się odrazu — po literacku. Genezę takich zbiorków bardzo dobrze określają modne dziś „wczasy“ (tu poetyckie), albo, jak dawniej i szczerzej uczynił Kochowski: „niepróżnujące próżnowanie“.

Tytuł książce dają dwa krótkie opowiadania.

Jedno — „ballada o bohaterskim koniu“ — włożone w usta cyrkowego przedsiębiorcy, traktowane reklamiarskim stylem, mówi o losach konia, który, zasłużywszy się wielce ojczyźnie, byłby zapomniany zmarniał pod biczem rozwoziciela jarzyn, gdyby nie opowiadający; on wrócił go społeczeństwu, on wytresował na podziw widowisk, on też śmiercią i pozgonną chwałą konia się zajmie a obecnie wzywa publiczność, by już teraz poczęła się troszczyć o pomnik z napisem: „Bohaterskiemu koniowi wdzięczna ojczyzna“.

Drugie opowiadanie „o walącym się domu“ jest, zakwefioną symbolami, skargą na płaskie, brutalne, głupie szyderstwo tłumu, nieumiejącego w Ideale uszanować serca, lecz patrzącego tylko na niedoskonałości świątyni i bóstwa, które owo serce miłością swą wypracowało. W zakończeniu odrzuca poeta tłumowi wzajem — gorycz wewnętrzną i złośliwą prawdę.

Przez opowiadania przelewa się zmienną falą to ironja, szyderstwo, gorycz, przypominająca znany Kasprowiczowski aforyzm: „nie otwieraj ludziom serca, bo ci w nie naplują“; to sceptycyzm i apatja; to znowu smętek, ból serdeczny i umiłowanie „świętości“. — N. p. we fragmencie „główki dziecięce“ — mówi do nich poeta: „Bądźcie, czem chcecie, tylko wcześnie uczcie się cierpieć i — gardzić i nienawidzić. — Nie! nie! chłońcie wiosenną radość życia, jak ja w waszych latach, serca otwórzcie na oścież, aby wstępowała w nie miłość — dla Wisły, jeziora i Popiela, dla królów w słomianych koronach, dla rycerzy i rolników, którym śmierć popędza konie ku miedzy, nim wysprzedawszy się z ziarna, zdołali o świeże postarać się zasiewy“. A w opowiadaniu „o walącym się domu“: „Nie dam żebrakowi jałmużny i bez skrupułu suty zjem objad; kosztownem upiję się winem i przy akompaniamencie dzwonów, w tej właśnie chwili witających jakiś

kondukt, z omyłki wyprowadzać będę przyjaciół i towarzyszy, którym się zdaje, że wdowa w grubej żałobie, wiodąca dzieci na grób męża, nigdy go nie zdradzała, że w pomiętej, zbladłej twarzy tego młodzieńca nie znamię wenerji widać, lecz klątwę światozbawczych zmagań z nędzą i upodleniem, że znany nasz filantrop w sposób uczciwy zdobył środki na publiczne ocieranie łez, że Duch zapanuje nad chlebem, że Bóg zamieszka w człowieku“. — Albo znowu gdzieindziej: „Gdybym miał duszę tak czystą, że prawo błogosławienia komukolwiek nie byłoby zuchwałem uroszczeniem, ku wam wyciągnąłbym rękę o ciche, rodzinne me pola“... „Nie wiem, jakie zdarzą się wam losy, złe czy dobre, lecz między nadzieją błękitu a większym jeszcze pomrokiem staje mój smutek i nieśmiałe szle wam błogosławieństwo“. Przytoczonym podobnych cytat mnożyć by można wiele. — Sądzę, że i te wystarczą.

Książka omawiana w dorobku literackim autora ma znaczenie podrzędne. Nie przynosi ona nowych ustosunkowań się poety do swych uczuć i świata. Nie cechuje jej też głębokość orjentacji. Gorycz n. p. w opowiadaniu o „Walącym się domu“ jest niecałkiem usprawiedliwiona — bo, jeżeli coś jest niedoskonałe, to trzeba zbudować coś doskonalszego a nie gniewać się o to, że ludzie niedoskonałość widzą. Ponadto, jak i w całej twórczości Kasprowicza, spotykamy się i tu często z symbolami, które mijają się ze swem przeznaczeniem artystycznem, gdyż zamiast daną kwestję uwypuklić i rozjaśnić — zakrywają ją mgłą domysłów. Natomiast, co podkreślić należy, książka ta przekonuje, że i w prozie, która u Kasprowicza dziwiła pewną ciężkością, jest poeta wielkim mistrzem słowa.

Ad. Z.

Marsylianka. Epizod walki o wolność, napisał Edmund Libański. Nakł. „Książki“ Lwów. 1906.

Jednoaktówka ta nie może mieć pretensji artystycznych. Jest to uscenizowany fejletonowy obrazek z życia podziemnej rewolucji obecnej. Postacie kreślone szablonowo. Epizod ten jednak pisany z dość żywem odczuciem nastroju chwili — nadaje się wcale dobrze dla sceny ludowej.

Ad. Z.

Zwiezdicz. Ustrój państwowy i stronnictwa polityczne w Europie zachodniej. Tom I. Austrja. Warszawa. Bibljoteka naukowa.

Celem pracy — wypełnienie szczerby w literaturze społecznej, spowodowanej prawie zupełnym brakiem prac poświęconych polityce. Znajdujemy w niej rozbiór historycznego zjednoczenia się państwa austrjackiego, stosunku Austrji do Węgier, ustroju państwowego, a wreszcie analizę programów partyj politycznych i podkładu realnego ich powstania i walk. Analiza ta, illustrowana licznymi przykładami z życia parlamentarnego, odkrywa nam wewnętrzny aparat zawikłań, przyczyny ciągłych nieporozumień i choroby organizmu. Łączą się zaś one wszystkie w kwestji narodowościowej, wobec której inne na drugi plan schodzą. W rozwiązaniu sprawiedliwem tych sporów narodowościowych, widzi autor cel istnienia, historyczne posłannictwo Austrji. Nastąpić zaś ono może, gdy Austrja przemieni się w federację narodów, nie opartych na na pewnych terytorjach, ale złączonych w dobrowolne związki. To jednak rozwiązanie zakwiłania nie przecina, bo autor zapomina, że w razie zawiązania federacji wystąpią na plan pierwszy kwestje natury ekomicznej, a jak z tem się załatwić, autor nie wspomina. Rozwiązanie więc, nie obejmując jednak całego zakresu życia społecznego, musi pozostać połowiczne. Inne poglądy autora, jak np. o potrzebie reformy wyborczej, krytyka podstaw konstytucji austrjackiej, wreszcie obraz stosunków galicyjskich czynią książkę zajmującą i w dzisiejszych zwłaszcza czasach pożyteczną. Pisana dla Rosjan, głównie dla poinformowania ich o życiu parlamentarnem i dla ostrzeżenia ich przed podobnymi błędami — ustrzegła się tendencyjności, sumiennie posługując się danemi statystycznemi. — Poprzedza ją zajmujący wstęp J. Gambarowa.

Jako drugi tom tego samego wydawnictwa, wyszła „Anglja“.

t. c.

NOTATKI.

Z archiwów. W Gorlicach, w magistracie znajduje się kilka bardzo ciekawych archiwaljów, z których ważniejsze podajemy:

1) Dyplom Jana Karwickiego na pergaminie, 8⁰ bardzo dobrze zachowany, mocą którego nadaje tenże wsi Rychwałdowi prawo magdeburskie, z r. 1470, z dwiema pieczęciami woskowemi i herbem Zadora;

2) Liber Decretorum per Joannem Kwiatonowski Notarium Gorliciensium Consulum Anno 1686—1775., bardzo dobrze zachowe;

3) Acta Decretorum et Testamentorum od r. 1690., zawiera wyroki karne, oprawne w skórę.

Podnieść tu muszę pracę p. Laskowskiego, sekretarza magistratu, który otaczając opieką stare akta, pisze sam monografję miasta Gorlic.

Także cechy miejscowe mają różne przywileje, oryginalnym jest zabytkiem od kilkuset lat istniejący rajpacz na czeladnika, zachowany w cechu szewskim.

K. Notz.

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.